

Mściciel naszych czasów

Oto po długich miesiącach zmagania, w trakcie których gmina Żyrakowa zyskała miano nieustępliwego i upartego bastionu, torpedującego ambitny plan rozszerzający granicę miasta, władzom gminy udało się dojść do porozumienia i stosowną uchwałą rady wydano zarządzenie rozpisujące referendum lokalne w sprawie przyłączenia gminy Żyrakowa do sąsiedniego miasta wojewódzkiego. Wójt, niemłody, lecz wciąż ambitny rolnik ze wsi Trukowice i zarazem Antenor pojednania z magistratem za cenę intensywnego rozwoju i urbanizacji miejscowości w całej gminie, lub - jak mówią nieprzychylnie mu języki - za cenę stanowiska wiceprezydenta w mieście wojewódzkim, całą mnogość swoich politycznych talentów utopił na szali nieprzejednanych radnych, gotowych bronić suwerenności gminy i toczyć nieprzerwane boje na przeciągających się posiedzeniach, aż do ostatniego tchu w płucach. Poskromiwszy obietnicą i teczką ostatniego żyrakowskiego patriotę, którego głos mógłby zmienić rezultat głosowania, udało się przeforsować wójtowi ze wsi Trukowice uchwałę referendalną; uchwałę, która była dopiero pierwszym zadaniem na długim teście ze społecznej dojrzałości i gotowości miejscowego społeczeństwa do wkroczenia na ścieżkę wszechstronnego urbanizmu!

I właśnie, gdy zwycięskie stronnictwo kontentuje się wynikami głosowania, gdy wójt wyobraża sobie swój przyszły gabinet w mieście wojewódzkim, gdy pan Warzecki, jeden z gorętszych zwolenników przyłączenia, klaszcze i rzuca, nie wiedząc komu, triumfalne spojrzenia, a pani Koza widzi siebie już jako wpływową radną w jakiejś ważnej komisji, spoglądając co rusz na Alfreda Dożka, miejscowego przedsiębiorce budowlanego i transportowego, liczącego na atrakcyjne kontrakty od miasta, otrzymywane za wstawiennictwem wójta-wiceprezydenta; gdy te wszystkie drobne czynności wydarzają się swoim niekontrolowanym wichrem ludzkich namiętności, dochodzi do zdarzenia nieoczekiwanego! Zaskakująco i intrygująco oraz natychmiastowo z a u w a ż a l n i e - gdyż owo posiedzenie odbywa się owego październikowego wieczoru, kiedy większość naszych drogich współobywateli z tempa zapadającego zmroku miarkuje, że oto już jesień - w urzędzie gminy Żyrakowa dochodzi do niespodziewanej awarii prądu, która pogrąży w mroku także sale posiedzeń rady i która uniemożliwia przewodniczącemu rady gminy i protokolantowi postawienie czytelnych podpisów pod uchwaloną uchwałą i gotowym protokołem.

Nie sposób opisać dziesiątków gestów i poruszeń, wykonanych w okrytych całkowitą ciemnością dziesięciu metrach kwadratowych, nazywanych z pewną przesadą s a l ą p o s i e d z e ń r a d y g m i n y; można za to powiedzieć, że spośród wielu odgłosów zaskoczenia wydobył się tęgi bas wójta z Trukowic, wzywającego czym prędzej woźnego z latarką; można też

stwierdzić - i tu mgła tajemnicy się nieco rozprasza - że woźny, serdeczny staruszek nazwiskiem Pcuk wkroczył do (heh) sali posiedzeń rady gminy, gdyż dało się słyszeć dźwięk otwieranych drzwi i ochrypty głos pana Pcuka, wraz z którym przyszło niewielkie światełko latarki podręcznej; następnie pan Pcuk uczynił zadość wołaniom wójta i rozświetlił nasze dziesięć metrów kwadratowych zestawem świeczek, pozostałych po zeszłorocznej wigilii dla pracowników urzędu gminy i zaraz po tym, dzierżąc w dłoni swoją podręczną latarkę pobiegł do piwnicy, aby - jak to sam nazwał - „rozszyfrować przyczynę zwarcia”.

- Zwarcia nie było - odezwał się pan Pcuk, powróciwszy w chwilę po tym, gdy w urzędzie gminy znów rozbłysło światło. - Tylko ktoś wyłączył zasilanie.

- Takie problemy najdobitniej wskazują, że potrzebujemy miejskiej sieci elektrycznej - pokiwał palcem Warzecki, patrząc triumfalnie na wszystkich i na nikogo jednocześnie.

- Ciekawym, kto ją zbuduje - uśmiechnął się Alfred Dożek, po czym, uściskawszy dłoń wójta i pożegnawszy się niezobowiązującym skinieniem głowy, wyszedł z sali (!) posiedzeń rady gminy.

- Komunikacja to nasz priorytet! - krzyknęła za nim pani Koza i spojrzała wyczekująco na wójta.

Ten, wyrywając się z błęgiego gabinetu myśli, spojrzał na przewodniczącego rady i protokolanta, zmuszając ich do zwieńczenia uchwały i protokołu swoimi cennymi podpisami. Gdy nareszcie to nastąpiło wszyscy zerwali się z krzeseł i wzruszeni podświadomą doniosłością owej chwili opuścili dziesięć metrów kwadratowych, pozostawiając w nich wójta z Trukowic, który z sali wyszedł, ale osobnymi drzwiami, prowadzącymi wprost do jego gabinetu.

Głosowanie odbędzie się za trzy tygodnie!

Kampania, kampania, kampania!... Pod tym hasłem upływają dni - być może ostatniego - wójta gminy Żyrakowa, który świadom dziejowej szansy, jaka postawiona została przed organizmem gmin podmiejskich, z idealistyczną prawie pasją walczy przeciw ostatniej przeszkodzie na drodze - przeciw żywiołom niechętnym przyłączeniu do miasta wojewódzkiego. Tak oto w całej gminie wszystkie słupy, ściany, ławki, latarnie, witryny sklepowe, banery, bilbordy, a zatem i drewno, stal, kamień, szkło, piasek i żywa tkanka - w s z y s k o zostało wciągnięte w wir agitacji; drzewa, skała, rudy, metale i komórki zwierzęce stały się agitatorami pracymi ku unowocześnieniu tej ziemi; ziemi, która poddała się władaniom człowieka w stopniu prawie ograniczonym, która, współpracując, z nim uniknęła asfaltu, betonu i owej ambrozji cywilizacji, zwanej *stężeniem pyłów zawieszonych*. Wszędzie pojawiły się plakaty, ulotki, komunikaty i hasła - a mieszkańcy Żyrakowej uwielbiają hasła! Ziemia jedyna, chociaż do tej pory bezwzględnie orana, kultywowana i znów orana, zdawała się cicho zaprotestować, ściągając na siebie siarczasty deszcz, który na kształt okrzyków bił w szyby, na kształt pochodów tworzył potoki i na kształt protestu

moczył nogawki....

Z przesiąkniętymi do kolan spodniami do gabinetu wójta wpadł Warzecki; okulary mu zaparowały. Z korytarza zdało się słyszeć łagodne przeklinanie pana Pcuka, który zmuszony został do zacierania śladów bytności Warzeckiego.

- To skandal! - krzyknął Warzecki, nie zauważając dezaprobującego spojrzenia wójta z Trukowic, spoglądającego na błotniste ślady butów, zostawiane na parkiecie jak wyrzut sumienia. - To skandal najwyższej miary! Ktoś zerwał plakaty ze słupów przy kościele i rzucił bezczelnie w gnój!

- Niech się pan uspokoi - roześmiał się wójt. - Są świeżo przyklejone, a widzisz pan, jak leje! Pewnie same odpadły. Przykleimy znów jak pogoda się uspokoi.

- Panie wójcie! To rzecz niegodziwa, przynajmniej tego nie sprawdzić! Warcholstwo i brak szacunku dla mienia to relikty słusznie minionych czasów dawnych i nie możemy dopuścić, aby wy dostał się ze sterylnej ekspozycji w naszych muzeach!... i książkach.

- To niech pan odwiezie go do muzeum. No, to wszystko? Świetnie - wójt z Truskowic chwycił za gazetę. - Tylko proszę wracać po śladach! Warcholstwo...

Warzecki wyszedł na korytarz i skacząc po odbiciach własnych podeszew, dotarł do drzwi wyjściowych, obok których znajdował się kantorek pana Pcuka; usłyszawszy zeń pełne niezadowolenia młaśnięcie, mimowolnie spojrzął przez uchylone drzwi i zobaczył siedzącego woźnego z wyłożonymi nogami na stole, czytającego... Rany boskie! Pan Pcuk czytał właśnie „Potop”, a obok niego leżały pozostałe części trylogii! Warzecki zapalił się i z ogniem w piętach uderzył w drzwi kantorka i pełnym ostrości miecza głosem wypalił:

- Czy jest pan strapiony, panie Pcuk?!

- Słucham? - woźny spojrzął nań z nad książki, zatrzymując przekładaną stronę w połowie jej drogi.

- Ma pan serce strapione! Trzeba je pokrzepić?! Pisarz dla maluczkich! Pisarza dla maluczkich czyta! Patrzcie na niego! - krzyczał Warzecki, pieczętując się na parkiecie i wymachując rękoma.

- Nie dla maluczkich! - oburzył się Pcuk. - Dla nas, dla wszystkich, bo taki on nasz jak i inni pisarze!

- Nie dla nas! Nie dla nas! To obrona sarmatyzmu, a p o l o g i a, słyszy pan to? Obrona porządku feudalnego, zniewolenia, batożenia i wy-ko-rzy-sty-wa-nia! Chłopów, kozaków, Rusinów, ludzi! Rozumie pan to?! Albo ty jesteś n i e u s w i a d o m i o n y, albo z ł y należysz do nich - do owej wstecznej masy, co lepsza chce się czuć!...

- Ale ja mam korzenie wschodnie!... - krzyczy Pcuk, wystraszony tupaniem Warzeckiego i jego machaniem intensywnym.

- Wiedziałem! Wielkie nosisz pan w sobie marzenia o kolonizacji kresów, prawda? Chciałoby się

wrócić do dworku, co nie? Sarmata w kantorku! Czerep rubaszny! Chodźcie tu wszyscy!

- Ale nie! Ale nie! Ja to czytam, bo mi się podoba!

I tak Pcuk się tłumaczy, Warzecki tupie i macha, a z każdą chwilą Pcuk coraz bardziej aktywizuje się i aktywniej się broni, aż wreszcie też macha i też tupie, tak aktywnie, że może nie broni się, lecz do ataku przystępuje! I w końcu Warzecki mu w twarz chłopem! A Pcuk bierze zamach i ogniem i mieczem w pysk Warzeckiego! Warzecki zły w żebro Pcukowi przodkami, a tamten mu w pischel Kmicicem! I panem Wołodyjowskim! I wszystkim co ma pod ręką! I tarzają się obaj w śladach Warzeckiego, aż w końcu mu woźny w twarz ciśnie „chamem zbuntowanym” i Warzecki odepchnie go, krzycząc:

- *Delirium sienkiewiczowe* to u ciebie wywołało, że śmiesz od chamów wyzywać?! Pcuk! Pcuk! To nie twoja powieść i nie twoja kultura! Tu jest twoja kultura - rzeknie, wstając i wskazując dookoła - tam gdzie przodkowie twoi i twoje pochodzenie! Zagłoba nie twój! Kmicic nie twój! Wołodyjowski też nie twój!

I tymi słowy kończąc, wyszedł z kantorka i urzędu gminy z krwawiącym nosem i uchem obitym, nie słysząc jak Pcuk wykrzykuje za nim swój zacytowany rodowód, dowodząc szlachectwa, kłamiąc przy tym pewnie, bo żeby był Pcucki albo Pcuwicz to by mu może i Warzecki uwierzył, ale tak to zwykle po potopowe *delirium* być musi.

Stał dom na skraju Żyrakowej, we wsi tak umiejscowionej, że jedynymi jej sąsiadami były dwie gminy ościenne i Trukowice. Dom ten przed rokiem osiągnął wiek chrystusowy, a zaprojektowany został przez architekta niewątpliwie ambitnego, ale o dwoistości poglądów na swój fach; przód jego stanowiła dość zwyczajna biała fasada z drzwiami wejściowymi i czterema oknami, której jedynym wyróżnikiem był wysunięty fronton podparty portykiem z klasycznymi kolumnkami; tak ów dom przedstawiał się drodze. Tylna zaś jego część, niczym biegun magnesu ciągnięty ku rzeczy sobie najbardziej niepodobnej, wychodziła na las; przeszklone ściany i taras swoją skromną nienarzucającą się nowoczesnością - i taką skromnością pokazującą najdobitniej swą wyższość - oraz gęsty las złożony z buków i sosen, wraz z egzaltowaną pierwotnością, niczym nie krępowaną i nie ustawianą - i tą szczerością prawdziwie pokorny - zdawały się być znakomitym przeciwieństwem.

I jak w baśni najeżonej symbolami w domu tym mieszkał człowiek pełen przeciwieństw; człowiek o osobowości tak złożonej i nieschematycznej, że wielu szyderców gotowych było zarzucać mu hipokryzję i śmiać się z niej wniebogłosy - lecz taka jest przypadłość tego rzemiosła! Zrzeszony w innym cechu obserwator zachwyciłby się kontrastami, wgłębił w problematykę i przeprowadził gruntowne studium charakterologiczne, nie wydając przy tym ani

grama śmiechu. Ale i Szyderca i Obserwator mają swoje zadania. Niech zatem siądą i spojrzą na owego człowieka, co mieszka w domu na skraju gminy Żyrakowej.

Gdy Warzecki z rękami głęboko wsadzonymi w kieszenie płaszcza znalazł się przed swym domem, deszcz ustał, chmury rozstały się, zostawiając słońcu pełne miejsce na niebiańskiej scenie; promienie jego świeżo potraktowanej deszczem Żyrakowej tak zaczęły dawać się we znaki, że Warzecki dobrze jeszcze furtki nie odstał, gdy musiał zdjąć płaszcz i, z dłonią postawioną przy czole, doczłapał do drzwi. Przemoczone buty zrzucił w przedpokoju, pod wielką kopią „Zmartwychstania” Stryjeńskiej i wkroczył do salonu, którego ściany także zastawione były obrazami i półkami, po których biegały chłopki i obrońcy pańszczyzny, opowiadając sobie ludowe historie. Mrużąc pod nosem: „jak można?! no po prostu, jak tak można?!” dobył stoliczka z adapterem i płytami, a następnie z pomiędzy I symfonii Schönberga i Tannhäusera wydobył zbiór pieśni ludowych i pewnym ruchem wpakował go pod igłę gramofonową, po czym rzucił się na szeszlona. Z nerwów przerzuczał się z boku na bok, a szeszlona kiwał się razem z nim; zirytowany sięgnął po pierwszą lepszą książkę i podparł „Poezjami” Kasprowicza zbyt krótką nogę. Pod wpływem muzyki uspokoił się; przestał pytać „jak można?”, a zamiast tego zaczął cicho i namiętnie szeptać:

- Gardzić tym! Nie rozumieć tego!... To przecież szaleństwo... Gdyby tego posłuchał nie zrozumiałby... Nie zrozumiałby, że muzyka ludowa jest najwspanialszą ze sztuki dźwięku, ze względu na oryginalną fakturę, linearne konstrukcje polifoniczne, złączone z olśniewająco niezwykłą instrumentacją! A przecież to jego, to n a s z e!

Ziewnął i schował twarz w dłoniach, a kiedy zrobiło mu się duszno, spojrzął na „Zaloty” Tetmajera i choć patrzył na nie codziennie, teraz dopiero w wąsatym mężczyźnie z kielichem dopatrywał się Pcuka! Co za wyśmienita analogia! Siedzi w sukmanie i pije tak chłopsko i cały jest taki chłopski, że nie sposób tego chłopstwa ukryć! I on, Warzecki, wie o tym chłopstwie, a Pcuk wie, że on wie, a i tak udaje! Udaje i idiotę sobie struga z niego, z Warzeckiego! I czyta te książki i czyta, choć wie co i czym i wie, że on to wie, ale i tak udaje, aby sobie zadrwić perfidnie i!...

Warzecki zleciał z szeszlona. Za oknem, w dźwięku syren i blasku reflektorów, przejechał wóz strażacki.

Siedzi w biurze wójt z Trukowic ze swoim wicewójtem; to drugie stanowisko zajmuje od początku kadencji pani Koza, która jednak naddość uważyła za bardziej zaszczytne; wójt nie przyznał się nigdy do tego, ale to właśnie determinacja pani Kozy w dążeniu do owych zaszczytnych perspektyw była powodem jej nominacji. W pędzie ku radzie miasta

wojewódzkiego pomogła przeforsować uchwałę przez radę gminy, a teraz - na tym samym paliwie - pomaga przy staraniach o należyty wynik w referendum. I siedzą właśnie nad papierami, harmonogramami, projektami broszur i ulotek oraz fakturami, wieńcząc swój własny mały domek z kart. Wójt opiera się na łokciu; pewien jest swego i nie boi się oddalić pozorów. Pani Koza jest wyprostowana i lekko pochyla głowę nad rachunkiem z drukarni; ona każdy karciany szczebelek układa z największą starannością, lecz wcale bez cierpliwości; chociaż trzecie piętro będzie można nazwać gotowym dopiero za dwa i pół tygodnia, już myśli o facjatce i tak rzecze do wójta:

- Trzeba uczcić dzień ogłoszenia wyników.

- Kupiłem szampana i pobyt w Świeradowie - mówi wójt z Trukowic, przeciągając się. - Jak się uda odkorkujemy i całym urzędem pojedziemy na wczasy! A jeśli nie, co oczywiście nie może się zdarzyć, bo do tego nie dopuścimy, zostają nam wczasy!

- A publicznie, panie wójcie? Bo publiczność jest dla nas bardzo ważna, panie wójcie. Ona wybiera nas i naszą przyszłość. Dla niej trzeba też przygotować uczczenie, to jest: u r o c z y s t o ś c i.

- A! Tak jest, tak jest. Warzecki...

- Pan Warzecki przygotował szczegółowy plan: tańce, śpiewy, stroje ludowe i poczęstunek...

- Akceptuję! Na koszt gminy! Niech księgowość rozlicza mu wszystkie faktury.

- Ale budżet!...

- To prawdopodobnie nasz ostatni budżet, a miasto wojewódzkie przyjmie nas z otwartymi ramionami, niezależnie czy będziemy mieli deficyt, czy nie będziemy mieli deficytu. Rozumie pani, prawda?

- Zatem potwierdzę zamówienie z wypożyczalni i catering...

- Proszę zaszaleć, poszaleć, porozciągać te swoje tabelki, poprzeciągać je, powpisywać, rozliczyć!...

I kiedy wójt z Trukowic mówi o rozciąganiu, a pani Koza zastanawia się z jakiej rezerwy i z którego funduszu, nagle do rozmowy wbił się trzeci uczestnik; osobliwie bezosobowy, niosący ekscytację i ciekawość pozeracz uwagi, dekoncentrator każdego skupienia i destruktor spotkań; mianowicie: zadzwonił telefon. Wójt niezwłocznie odebrał, kamuflując tym fakt, że skończył mu się wachlarz tortur dla nieszczęsnych tabelki wicewójta; chwilę milczał, podniósł brwi, złapał się za głowę, pomrukał szybko, spojrzał na panią Kozę, jak gdyby oczekiwał, że zna już treść rozmowy, po czym wypowiedział kilka wyrazów niecenzuralnych, wezwał na pomoc siły wyższe i porwawszy spod biurka aktówkę, zawołał coś, czego podać wypada jedynie zbliżoną parafrazę: „Motyla noga! Musimy teraz bardzo szybko jechać, bo zaraz mnie szlag trafi.” I wybiegł, nie wtajemniczając pani Kozy w przebieg rozmowy.

Pali się! Pali się drukarnia, w której wójt ulokował ulotki i plakaty. Nie wiadomo skąd wziął się ten ogień. Na ratunek wyruszyła ochotnicza straż pożarna, oraz posiłki z dwóch gmin ościennych. Jak na złość słońce także zaczęło palić - akurat teraz, w październiku, bo przez ostatnie godziny jakby rzuciło palenie, ale tylko po to, aby znowu sobie zapalić tak po sierpniowemu, w chwili, gdy to najgroźniejsze. Piecze słońce, paruje przemokła ziemia; ogień się rozprzestrzenia, bo wiatr wieje takim pociesznym wicherkiem, że aż iskry same chcą się przyłączyć i wiać z nim razem. A obok pola, a obok las i stodoły drewniane! Już miasto wojewódzkie wysłało posiłki, bo w gminie sił nie ma na skromną drukarnię, popartą przez żywioł. Mijają godziny, przybywa policja, przybywa wójt z Trukowic, przybywa wicewójt, aby ocenić straty, które wraz z dymem wychodzą z gorejącego budynku. Jednak straty nie są łatwopalne i wreszcie, dzielni strażacy potrafią przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę; słońce cofa się za horyzont, papier zostaje sam z ogniem; przestaje też wiać - stodoły są już bezpieczne. W końcu ognista luna przestaje robić wrażenie; zaczyna się zmniejszać, a mniejsze nie straszy tak jak wtedy, kiedy było większe. Potem ogień dogasa i znika, lecz porwał ze sobą drukarnię.

Straż i policja ogląda pogorzelnisko, szukając przyczyny. Właściciel naciska na sierżanta, gdyż spłonęło kilkadziesiąt tysięcy złotych, których uprzednio pożałowano na ubezpieczenie; wójt też naciska, bo ulotki uważał za swoje. I przyczyna pożaru okazuje się złożona, nieprzewidywalna, zamierzona i celowa, chociaż motyw wciąż jest nieznan, bo przyczyną jest człowiek - boże igrzysko! Doszło do podpalenia! W gminie Żyrakowa, sielankowym i nieznanym przestępstw spokojnym skrawku powiatu, do którego sterylności i odizolowania od wielkiego, okropnego świata mieszkańcy nie mieli wątpliwości, doszło do przestępstwa! Nie wykroczenia, nawet nie kradzieży lub rozboju - to by nikogo nie zdziwiło - ale do p o d p a l e n i a! Więcej! Przesłany z miasta wojewódzkiego aspirant policji twierdzi nawet, że podpalenie można powiązać z sabotowaniem prac urzędu gminy i zrywaniem materiałów referendalnych. Zdaniem aspiranta za wszystkim stoi jedna osoba! Aspirant policji wykazał się również niebagatelną bystrością, wskazując na motyw sprawy; wszystkie popełnione przestępstwa łączy chęć zatrzymania procesu przyłączenia gminy Żyrakowa do miasta wojewódzkiego!

A więc we wsi pojawił się wojownik! Gorliwy mściciel zagrożonej niezależności gminy! Patriota lokalny i zwolennik ludowości, który nie pozwoli na urbanizację i podporządkowanie Żyrakowej obcym czynnikom; człowiek, którego determinacja pozwala przekraczać wszelkie granice i który zdaje się mieć sojuszników w najgłębszych żywiołach; któremu deszcz pozwala niszczyć materiały agitacyjne, a słońce wspomaga zaproszony przezeń ogień! Na miły Bóg! Gdybyśmy byli wójtem z Trukowic, nie spalibyśmy spokojnie; ze strachu o własne bezpieczeństwo nie odprawilibyśmy - z lekkością wątpliwej jakości pracodawcy -

aspiranta z samego miasta wojewódzkiego!

Bo oto pojawił się mściciel. A wraz z nim prasa lokalna i oczy całego powiatu, a może i nawet województwa! Pozostałe dwa tygodnie do głosowania będą śledzone z gorliwością widowni filmu katastroficznego lub kasowego horroru. Redaktor „Głosu Żyrakowej” wielkim nagłówkiem krzyczy: Jaki będzie finał sprawy? Czy policja jest bezradna? Wójt komentuje: „Głos na TAK w referendum, jest nie tylko aktem woli połączenia gminy z miastem wojewódzkim, ale też aktem sprzeciwu wobec szkaradnej formy terroryzmu!” Tak skomentował to wójt, słowami spisany dlań przez tegoż Warzeckiego, który montuje na swojej posesji monitoring i czujniki dymu.

W firmie transportowo-budowlanej Alfreda Dożka, „Dożek sp. z.o.o.” celebrował swoją ograniczoną odpowiedzialność prezes i zarazem właściciel firmy, magister inżynier budownictwa Alfred Dożek. Kręcił się na fotelu, wyobrażając sobie siebie w urzędzie miasta wojewódzkiego, podpisującego lukratywny kontrakt na zbudowanie, zaprojektowanie, przewiezienie lub zlecenie podwykonawcom. Marzenia pana Dożka nie są wcale odskoczną od przykrej rzeczywistości, tak jak to często bywa, gdy będąc w niekorzystnym położeniu oddajemy się rojeniom, nie myśląc o jego zamianie; Alfred Dożek nie głoduje, ani fizycznie, ani finansowo, ani firma jego nie cierpi na niedobór kontraktów; jej człon budowlany żywi się monopolem na remonty budynków gminnych, zaś człon transportowy zajmuje ważniejszymi przesyłkami urzędowymi, a także wypełnianiem obowiązków Gminnego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego, powołanego kadencją temu, przez, chcącego dać zadość swym obietnicom, wójta z Trukowic. Na Alfreda Dożka zarabia zatem każda usterka, nawiedzająca bibliotekę, przedszkole lub szkołę podstawową oraz każdy autobus (nazywany tak z grzeczności w spisach inwentaryzacyjnych) przewożący mieszkańców gminy Żyrakowa w jej obrębie, lub między gminą a najbliższym przystankiem w mieście wojewódzkim. Co więc boli Alfreda Dożka? Co go mogłoby uwierać, jeśli żadna wielka idea nigdy nie skaziła umysłu tego żyrakowskiego Rockefellera? Wielokrotnie myślał o tym sam Alfred Dożek, gdy w chwilach zmęczenia razem z miną człowieka sukcesu zrzucał garnitur i przy butelce napoju, który swoim wyglądem tylko przypominał wodę, rozważał i nadawał treść tabelkom i artykułom, alarmującym o rozmiłowaniu ojczyzny w używkach wysokoprocentowych. Spożywał sam, bo i owo spożycie pozbawiło go nawet kompanów do kieliszka; robił to nie więcej niż raz w miesiącu - bo (broń Boże!) nie był przecież alkoholikiem! - i za każdym razem, gdy podejmował decyzję, że ów wieczór trzeba zakończyć tak, aby końca nie pamiętać, czuł w sobie pewne zebranie goryczy, które albo zostanie uśmierzone „napojem”, albo przeleje się i utopi go pod potokiem nieszczęść. Nie przeszkadzał nikomu; mieszkał sam i nigdy się nie ożenił. W młodości zwątpił w sens nauki w mieście wojewódzkim i ukończył technikum budowlane w Żyrakowej, w czasach, gdy jeszcze

ono istniało; kiedy zaś postanowił udać się na politechnikę, trafił na wydział, swoją strukturą demograficzną wyraźnie niesprzyjający zamiarom matrymonialnym dorosłego mężczyzny. I kiedy spożywał samotnie, pojawił wraz, co za siła kuje go i skłania do marzeń w fotelu prezesa firmy „Dożek sp. z.o.o.”; znalazł odpowiednie słowo, które zdawało mu się pasować doń, jak gdyby było specjalnie na jego potrzebę stworzone: gnębiła go a m b i c j a, a raczej specyficzna forma ambicji, taka jaka tylko mogła się wykształcić u osoby Alfreda Dożka; bowiem, gdy Alfred Dożek siedział w fotelu, nie wyobrażał sobie niczego, czego nie robił by do tej pory; jego rojenia różniło od rzeczywistości jedynie miasto wojewódzkie, a ambicja nie nakazywała robić nic i n a c z e j, tylko w i ę c e j i b a r d z i e j.

A kiedy marzył, by robić bardziej i więcej, obracając się na skórzanym fotelu i przykładając palce do ust tak, jak gdyby nie trzymał w nich taniego żółtego długopisu z niebieską skuwką, lecz najlepsze kubańskie cygaro, do jego biura wkroczył Darek, kierownik magazynu, który był dziś tak żyrakowski i tak niemiejskwojewództki, że wszystkie marzenia przysły i choć z niezbitnej logiki wynikała ich realność, zdały się bajaniem; taki był dziś kierownik magazynu! Alfred Dożek, strącony z błęgiego świata swych pragnień do krainy Darków, kierowników magazynów, rzucił długopis na biurko i spytał nieomal ze złością:

- Co jest?

- Dwie przesyłki gotowe do odbioru - odparł Darek, szeleszcząc ortalionem. - Jedna dla urzędu gminy, druga dla bractwa kurkowego.

- Ile mamy czasu?

- Odebrać powinniśmy w zasadzie wczoraj, ale dostarczyć musimy wedle umowy najpóźniej na za dziesięć dni.

- Obie?

- Tak jest.

- To do roboty! - zawołał Alfred Dożek, a Darek kierownik magazynu zaszeleścił i wyszedł.

Zostawszy sam, prezes firmy chwycił długopis i już chciał znowu się rozmarzyć, gdy skonstatował, że powtórne gryzienie plastiku nigdy nie jest tak przyjemne jak pierwsze i postanowił, że zrobi coś konstruktywnego i wziął się do pracy.

Dzień! Nadszedł ten dzień! Dzień, który rozpocznie nowy rozdział artykułu w *Wikipedii* o gminie Żyrakowa. Głosowanie trwało długo i tak niezwykle obficie, że przed jego końcem zdążyła zatkać się urna, wypełniona po brzegi głosami zaangażowanych mieszkańców, których ilość wielokrotnie przekroczyła możliwości komisji wyborczej, przeciągając ogłoszenie wyników aż do następnego dnia!

Urząd gminy stanął na wysokości zadania; jest bowiem plac w gminie Żyrakowa, dzielnie spełniający rolę parkingu, chociaż dawno nie powinien nim być. Dwie kadencje temu, wójt z Trukowic nie marzył jeszcze o mieście wojewódzkim; chciał być burmistrzem - burmistrzem gminy miejsko-wiejskiej z miastem Żyrakowa; stanął wtedy w trakcie wiecu na owym - wówczas bezsprzecznie - parkingu i ogłosił program, mający ratować podmiejską gminę od wchłonięcia i doprowadzić do przyznania praw miejskich, a na potrzeby elektoratu zilustrował go obrazowo, mówiąc, że plac, na którym stoi, już za cztery lata będzie prawdziwym rynkiem miejskim. Obietnicy skwapliwie nie wykonał - chociaż lubiliśmy kiedyś rynki z parkingami, więc może? - lecz pozostał żart i tak jak dziesięć metrów kwadratowych w urzędzie gminy zwie się (ha!) s a l a p o s i e d z e ń r a d y g m i n y, tak utarła się w Żyrakowej nazwa dla asfaltowego placu: r y n e k.

Stanął zatem urząd gminy na wysokości zadania; stanęła na rynku estrada, stanęły też grille, maszyny do waty cukrowej, stoiska z balonami i stoły pełne chleba, wypieczonego podług najlepszych ludowych przepisów pana Warzeckiego, mięs z rzeźni tak bardzo ludowej, że do towaru nie wpuszczono weterynarza oraz piwa, sprowadzonego z bankrutującego browaru rzemieślniczego. Ściągnięto dzieci ze szkoły podstawowej, by odtańczyły oberka, kujawiaka lub krakowiaka; zamówiono orkiestrę, lecz tą odwołał Warzecki i wystarał się o przybycie aż z Suwałk najprzedniejszego zespołu, składającego się z mistrzów drumli i oboju. Wszyscy ciężko pracowali; pan PcuK podłączał nagłośnienie, pani Koza odpędzała owady od waty cukrowej, a wójt stał oparty o estradę w samym dresie, gdyż dał się namówić biegającemu wkoło Warzeckiemu do wystąpienia w stroju ludowym, który jeszcze nie dotarł.

- Niech by szlag jasny trafił tego Dożka! - wołał Warzecki, przebrany w szerokie szarawary i jaskrawo zdobioną sukmanę, pełną kwiatów, kogutów, kłosów, kos i wszystkiego tego, co samą swoją obecnością krzyczy o lokalności i ludowości.

Wójt z Trukowic zaś wzdychał i sapał, rzucając wszystkim wokół pełne wyrzutów spojrzenia, jak gdyby cały świat był winien, że nie zabrał garnituru. Tymczasem plac się zapełnia; przychodzą mieszkańcy, siadają na ławach; siadają i czekają tęsknie, aż wójt przemówi i ogłosi poczęstunek. Wtem podjeżdża ciężarówka, wysiada z niej Alfred Dożek i w samą porę przywozi stroje, bo Warzecki by sobie skórę z głowy zdarł, gdyż włosów do wrywania od pięciu lat już nie miał. Zbiegają się dzieci ze szkoły podstawowej, przybiega też wójt; wszyscy otaczają dostawczak.

- Nareszcie! Nareszcie! - woła wójt. - Jeszcze chwila i ktoś by zobaczył mnie w dresie!

A tu nagle Warzecki tak ryknie, że aż kasztany pospadały z drzew, zrzucone przez uciekające ptaki:

- Co to jest?! - krzyczy i wyciąga pierwszy strój z kartonowego pudła.

Alfred Dożek milczy; milczy, ponieważ dobrze rozumie, co zaszło i rozumie też, że w

bractwie kurkowym też ktoś teraz tak krzyczy.

- No, stroje to stroje - mówi wójt i próbuje wyszarpać ubranie z rąk Warzeckiego.

- Ale to kontusz! To żupan i szabelka plastikowa! - krzyczy i stara się porwać strój na kawałki, ale zbyt dobrą tkaninę zamówiło bractwo!

- Dzieci! Nie mamy już czasu! Proszę się ubierać! - woła nauczyciela ze szkoły podstawowej.

- Nie! Nie! Nie! Nie możemy tak! Wójt nie może tak wyjść!

- Lepiej w tym niż w dresie! Przesuń się już!

Warzecki by krzychał jeszcze, wydzierał, zdzierał, machał i tupał; zmusiłby Alfreda Dożka, aby natychmiast pojechał do bractwa kurkowego po stroje ludowe, ale co zrobić - co mógłby zrobić biedny chłopski trybun? - gdy zwiedzione „Panem Tadeuszem” dzieci porwały za kontusze, gdy wójt z Trukowic nie wie, że w Trukowicach powinno nosić się sukmany w koguty, kłosa, kosy... Cóż mógłby uczynić?!

Po chwili rynek jest już pełny, słońce wyłania się zza chmur, a na estradzie pojawia się Warzecki, całkiem ludowy, kolorowy, chłopski i tutejszy; za nim wychodzi wójt, w kontuszu; za sarmackim wójtem dzieci ze szkoły podstawowej - także sarmackie! - stają w rzędzie i wójt przemawia, sarmacko, sarmacko, sarmacko! Brawo! Brawo! Brawo! Brawo! Tak wzniosłe mówi, że brawa się wznoszą do najwyższych poziomów uwiedzenia etosem przedmieść miasta wojewódzkiego. Potem nauczycielka ze szkoły podstawowej ustawia dzieci i prosi pana Pcuka, by puścił muzykę. I wtedy rozlega się mazur; nie oberek, nie krakowiak, nie kujawiak, ale właśnie m a z u r. Warzecki skórę chciałby sobie z głowy zedrzeć, bo wie, że to jego wina; że powinien dopilnować Pcuka, który zawzięty na niego jest od czasu chłopobicia w kantorku; że powinien za gardło złapać Alfreda Dożka, posłać go do bractwa kurkowego, ale co czynić t e r a z, gdy mleko nie rozlało się, tylko wciąż wypływa siarczystym strumieniem?! Mleko cieknie, a dzieci nie tańczą oberka, tylko bawią się przy mazurze; mleko cieknie, a nauczycielka zamiast wszystko przerwać broni swojego, prosi państwa, autorytetu i udaje, że przecież jest dobrze, że przecież tak miało być właśnie i dzieci niezwykle ją poważają, a nie w poważaniu trzymają i kisa.

Lecz cóż to? Muzyka ucichła; ucichła, bo ktoś odłączył głośnik; odłączył i zaczął uciekać; Warzecki widział wyraźnie cień człowieka, padający z estrady.

- To mściciel! Mściciel! - krzyczy.

Wszyscy się zerwali, a na czele Warzecki z Alfredem Dożkiem biegną za estradę, ale dostrzegają tylko chwiejące się drzwi od szopy, która służy dziś dzieciom ze szkoły podstawowej za garderobę. Słońce zaczyna znowu przygrzewać. Wójt, pani Koza, Alfred Dożek i pan Pcuk otaczają szopę. Warzecki dobija się do drzwi.

- On tam jest! Mściciel! Złapiemy go, teraz! Boże, jak gorąco! I raz! I dwa! I trzy!... - wreszcie

drewniane wrota ustępują, trybun wpada do szopy.

Wpada do szopy, zawalonej ubraniami, gratami, deskami, tornistrami i plecakami, ale nie mścicielem. Mściciela nie ma!

- Nie ma! Nie ma! - woła Warzecki i zaczyna biegać po całym placu. - A jak nie ma, to nie istnieje! Nie ma mściciela! Nie ma! Ha! Ha!

I wszyscy zaczynają powtarzać, że mściciela nie ma, że nie istnieje, a słońce przepędziło już ostatnią chmurę i grzeje, grzeje jak nigdy w listopadzie; czyni płaszcz zbędnym, a kontusz uciążliwym. Ale czym jest uciążliwość? Nie ma mściciela! Jest wata cukrowa i chleb i piwo i mięso i biegający Warzecki, wydający na świat galony potu, a w to wszystko wbiega przedstawiciel komisji wyborczej i rzecze do wójta:

- Są wyniki! Wygraliśmy!

- Co to znaczy „wygraliśmy”?!

- Ludzie są za przyłączeniem do miasta wojewódzkiego!

- Ha! Wygraliśmy! - krzyczy pani Koza.

- Wygraliśmy - powtarza ostatni wójt gminy Żyrakowa.

- Nie ma mściciela! - woła spocony Warzecki i wylewa na siebie kufel piwa rzemieślniczego.

A słońce przypieka i smaży...